

## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Znane już są powszechnie z Pism codziennych bliższe szczegóły wypadku, który się wydarzył d. 29 Października pod stacją Borkami. Podczas gdy kilkanaście osób zginęło, z powodu wykołejenia się pociągu, podobało się Bogu ocalić życie Najjaśniejszego PANA i JEGO rodziny. We wszystkich świątyniach składane były z tego powodu modły dziękczynne, a Najjaśniejsi PAŃSTWO wszędzie, gdzie przejeżdżali następnie, witani byli z zapałem, przez uradowaną ludność.

## JESIENIA.



oleciały jaskółeczki  
Pod dalekie, obce nieba,  
Szukać ciepłych fal słonecznych  
I na innej niwie chleba!

\* \* \*

I bociany srebrnopióre  
Porzuciły dach słomiany,  
Biegną długim, jasnym szlakiem,  
W kraj cieplejszy, w kraj nieznany.

\* \* \*

Zczerniał, pożółkł i zwiadł smutnie  
Liść na ziemię z drzew opadły,  
Nad zoraną czarną rolę.  
Zapłakane nieba zbladły.

\* \* \*

Wszędzie pustka, gruda, zimno,  
Słońko świeci, lecz nie grzeje  
I wiatr tylko hucząc zwolna  
Po wierzchołkach topol wieje.

\* \* \*

O! i w ludzkiej nieraz duszy  
Taka jesień zimna, pusta,  
Że aż serce ścina lodem  
I zranione błędą usta.

\* \* \*

I z ludzkiego serca nieraz  
Odlatują śpiewne ptaki,  
Zostawiając żal po sobie  
I żałobne mogli szlaki.

\* \* \*

Lecz nad ziemią, ponad światem,  
Przejdzie zima, wiosna wróci  
I pełniejszym jeszcze kwiatem,  
Zmarzłe łono jęj obrzuci!

Pielęgnujcież, dzieci moje,  
Kwiat wiosenny i blask słońca,  
Żeby waszą zimę życia,  
Opromienić mógł do końca.

I szukajcie skrzętnie wszędzie  
Tego słonka, ciepła, dzieci,  
Co ożywia, choć sam zagasł,  
Co rozgrzewa, choć nie świeci.

*Gabryela Jasińska.*

## CZAROWNIK MOGUNCKI.

(Dalszy ciąg).

### III.

Biedny Andrzej przeleżał tak do białego dnia, zrazu nawet stracił przytomność, męczyły go straszliwe zmyły, wreszcie o świcie przyszedł zupełnie do siebie. Z godzinę nieborak męczył się i wszelkich starań dokładał, aby się pozbyć więzów, udało mu się nakoniec, powstał i puścił się w drogę.

Ale las był rozległy bardzo, nie miał żadnych dróg ani ścieżek bitych, Andrzej usiłował kierować się za śladami koni, ślady te jednak szły w najrozmaitsze strony, w lesie jeździli konno nietylko lancknechci, lecz panowie okoliczni, urządzający w nim łowy na grubego zwierza. Uplynał tak dzień cały, Andrzej błędził w gęstwinie, nie spotkał żywej duszy, po uczcie wczorajszej musiał pościć, pożywił się tylko leśnymi owocami, wypił trochę wody ze strumyka i znowu noc go zastała wśród lasu; znużony, poraniony cierniem padł pod drzewem i zasnął.

Przebudziło go zimno dotkliwe o świcie, tym razem jednak postanowił iść w stronę, gdzie słońce weszło, starał się trzymać tego kierunku i dotarł nakoniec do krańca lasu, puścił się przez pola, aż uszedłszy tak kilkaset kroków obaczył przed sobą gospodę „Pod rogiem Rolanda”. A więc dwa dni stracił, błakając się po lesie, wydobywszy się z niego przyszedł powtórnie na miejsce, gdzie przed przygodą swoją nocował.

Po namyśle, pogodził się ze swym losem, przyszło mu bowiem do głowy, że w gospodzie może zasięgnąć wiadomości o lancknechach, w którą stronę się udali, gdzie się z nimi mógł spotkać. Odważny chłopiec postanowił odzyskać mszał mistrza Jana, chociażby go miał opłacić kosztem swęj swobody i do lancknechtów przystać. Inny wzgląd jeszcze ciągnął go do tęgospody, przypominał sobie, jak suto była zaopatrzona w najwykwintniejsze zapasy żywności, on zaś umierał z głodu. A myśląc o tem, Andrzej zaczął przetrząsać resztki ubrania, szukając jakiegoś przedmiotu, zapomnianego przez nich, któryby mógł ofiarować gospodyni w zamian za najskromniejsze śniadanie. Z radością wielką spostrzegł przytem, że kieszonka, ukryta głęboko w spodniach, pozostała nietknięta; w tęgkieszonce był schowany list mistrza Jana do doktora. Wyjął ów list, obejrzał go na wszystkie strony, dotknął pieczęci nienaruszonej, sznureczka jedwabnego, którego końce schodziły się pod pieczęcią i doznał uczucia pewnej ulgi.

Pomyślnie to odkrycie nowy kierunek nadało myślom i zamiarom Andrzeja. Pragnął on zawsze równie gorąco wydrzeć zdobycz, szacowną własność mistrza Jana niegodziwym lancknehtom; lecz przedewszystkiem należało śpieszyć do Kolsbachu, oddać jaknajprędzej ów ważny list doktorowi

Konradowi, opowiedzieć mu nieszczęśliwą przygodę i prosić o pomoc i opiekę dla siebie i mistrza Jana.

Dziewczęta służebne skubały kuropatwy przy wejściu gospody, gdy ujrzały zbliżającego się człowieka obdartego, bez czapki, z włosami w nieładzie, z twarzą rozkrwawioną, obłąkanemi oczyma, wszystkie trzy wydały jednogłośnie okrzyk przerażenia. Na ten krzyk wybiegł gospodarz, za nim ukazała się gospodyni, a w końcu wyszedł gość jakiś okazały, ustrojony w piękne futro.

— Ach! wszak to ten podróżny, którego porucznik Zygryf zaprosił na wieczerzę—zawołała gospodyni w chwili, gdy gospodarz już kij podnosił, aby podejrzanego włóczęgę odpędzić.

— Tak, ja to sam jestem — odpowiedział Andrzej, osuwając się bezsilnie na pień drzewa, leżący przy bramie — oto dwa dni i dwie nocy błędziłem po lesie o głodzie i chłodzie, zrabowany i obdarty do szczętu przez tych obrzydłych waszych lancknechtów.

— Biedny chłopak! — rzekła gospodyni — drogo zapłacił za wieczerzę.

Andrzej począł opowiadać szczegółowo swoje przygody, podróżny w futrze słuchał go z zajęciem wielkiem, po chwili wyszła z gospody młoda, piękna pani, bogato ubrana, stanęła przy nim i rączkę oparła na jego ramieniu, widocznie była towarzyszką tęgopana. Andrzej nie spojrzał nawet na nich, zaczął się dopytywać gospodyni, gdzieby mógł lancknechtów dogonić.

— Ależ to istne szaleństwo — odrzekła kobieta — nikt nie odgadnie, gdzie się podzieli, opuszczając te strony, bo nieustannie się włóczęją; gdybyś zresztą i napotkał ich, czyż zdołasz dać sobie radę z sześciu przeciwnikami, i to takimi?

— Muszę jednak się z nimi rozprawić — odburknął Andrzej — i rozprawię się, jak Bóg na niebie, niech no tylko wprzód pan doktor Konrad Hamery odbierze w ręce własne pismo, które mam dla niego.

— Jeżeli masz jakie pismo do doktora Konrada — odezwał się podróżny w futrze — możesz mi je oddać natychmiast, bo to ja jestem.

— Przepraszam pana — odrzekł Andrzej po krótkiej chwili namysłu — ale za dużo już wycierpiałem z tego powodu, że łatwo ufam ludziom. Niechże przynajmniej ta nauka nie pójdzie w las. Mistrz Jan mi polecił, ażeby pismo oddał doktorowi w jego domu w Kolsbachu, opowiedział, jak ten dom wygląda; tam więc pójdę i na miejscu poselstwo spełnię.

— Wątpisz więc o mojem słowie? — rzekł podróżny — czyż ci nie wystarcza świadectwo tęgypani, która ze mną jedzie? Jest to siostrzenica moja, którą do domu odprowadzam. Gospodarz i gospodyni znają mnie także i poświadczą tożsamość mojęj osoby.

Andrzej nic nie odpowiedział, lecz pokręcił głową, przecząco. Właściciel gospody wpadł w gniew okropny i wielką miał ochotę złać zuchwalca, lecz doktor Konrad go powstrzymał.

— Daj pokój — rzekł spokojnie — z takimi ludźmi na nic się nie przyda gniew ani namowa; im więcej będziemy naelgali, tem bardziej on przy swoim upierać się będzie. Głowę sobie da roztrzaskać, a nie ustąpi. Oto już lektyka mojęj siostrzenicy niezadługo będzie gotowa, niema innego sposobu, tylko zabiorę z sobą tęgoposłańca do Kolsbachu, a w domu przecież mi pismo odda. Ponieważ jednak droga jest jeszcze daleka i uciążliwa, więc trzeba biedaka porządnie nakarmić, żeby miał siły odbyć ją pieszo; nie mam bowiem konia dla niego, służący mój nie zechce przy sobie posadzić takiego straszego obdartusa. Dajcież mu, proszę was, dobre śniadanie na mój rachunek.

— Dziękuję panu — odezwał się na to Andrzej — pokutowałem już za to, że obcym ludziom pozwolił się częstować, drugi raz tego nie zrobię. Nic od pana nie przyjmę; jeżeli gospodyni ma litość nademną, niech mi da kawał chleba i dzbanek świeżęj wody, nic a nic więcej od nikogo nie przyjmę.

Uśmiali się wszyscy obecni z tych osobliwszych środków ostrożności zdradzonego wędrowca i zaczęli ztąd wnosić, że smutna przygoda pomieszała biedakowi w głowie. Gdy usiadł przy stole, pomimo okropnego głodu, rzucił kiedyniekiedy chleb na stół, uderzał o niego pięściami, nogami tupał o ziemię i wykrzykiwał niezrozumiałe jakieś groźby.

— Panie doktorze — szepnął gospodarz do ucha podróżnemu — czy się pan nie obawiasz zabierać z sobą w drogę takiego towarzysza?

— Nic — odpowiedział tamten — cóż on nam zrobić może? Ja i mój służący jesteśmy uzbrojeni.

Młoda pani wsiadła naprzód do lekytki i otoczona orszakami swojej służby wyruszyła w drogę. Następnie przyprowadzono dwa konie wierzchowe, wsiadli na nie doktor Hamery i sługa jego, obaj jechali bardzo wolno, mógł więc bez trudności zdążyć pieszo za nimi nasz Andrzej.

#### IV.

Przebyli tak w milczeniu parę mil drogi, siostrzenica doktora pożegnała go, zbliżywszy się do swojego domu, on zaś, nie zatrzymując się dalej podążył, za nim nieufny zawsze Andrzej. Pierwszy wreszcie doktor Hamery przerwał uporczywe milczenie, zwalniając jeszcze kroku, gdyż droga wiodła na nieduży wzgórek, przemówił w te słowa:

— Widzisz, przyjacielu, że zgodziłem się chętnie na wszystkie twoje warunki, nie nalegam też wcale, abyś mi oddał to pismo, tak troskliwie strzeżone; ale czy nie mógłbyś przynajmniej o tyle ciekawość moję zaspokoić, abyś mi powiedział, kto to cię wysłał z tym listem do mnie?

— Powierzył mi to pismo do przyjaciela swego doktora Konrada Hamery pan mój i opiekun, mistrz Jan Genfleisch z Sorgenlochu.

— Ach! — zawołał doktor, z żywością poruszając się na siodle — mój dobry chłopcze, przybliź się do mnie, ja zastosuję kroki wierzchowca do twoich, pogawędzimy trochę, może się dowiem od ciebie, co porabia i czego żąda zacny mój przyjaciel Jan z Sorgenlochu. Mój Boże! tak jestem niespokojny o niego, a tu jeszcze mamy dobre dwie mile do Kolsbachu.

— Wypocząłem i możesz pan jechać prędzej nieco — odparł Andrzej — bo i mnie także pilno przybyć na miejsce i list ten oddać.

Jeszcze nie dosięgli szczytu wzgórza, gdy ujrzeni naprzeciw siebie wspaniałą lekytkę, otoczoną licznym orszakiem konnych. Doktor poznał odrazu księcia arcybiskupa Moguncy, zatrzymał się i zsiadł z konia, aby pieszo i z głową odkrytą powitać dostojnika kościoła, jak tego zwyczaj ówczesny wymagał. Tymczasem purpurowe firanki lekytki rozsunały się i cały orszak arcybiskupa zatrzymał się także. Jeźdźcy ustawili się szeregiem nieco na stronie, jeden tylko podjechał bliżej do doktora i rzekł z uszanowaniem:

— Jego ekscelencya książę arcybiskup chce mówić z wami, panie doktorze. Ucieszył się niezmiernie tem spotkaniem, gdyż ma wam coś ważnego do powiedzenia, coś nie cierpiącego zwłoki.

— Chodź, chodź prędzej, doktorze kochany — dodał książę kościoła, wychylając głowę z lekytki — rad jestem bardzo, że cię widzę, pokażę ci zaraz szacowny nabytek, księgę, kupioną po drodze za dwadzieścia talarów u wędrownego przekupnia. Nie wyglądał jednak na przekupnia i podejrzynam w nim przebranego lancknechta. Patrz, jakie to piękne, czyste, regularne pismo; ani jedna litera nie odbiega od prawidłowych kształtów, a wszystkie są jednakowej wielkości, równe, odstępami między wierszami najdokładniej odmierzone. Ty wiesz dobrze, bo znasz się na tem, jak trudno o staranne i umiejętne przepisywanie. Każde, najlepszy nawet, coś opuści, przekreśli, jedną literę wygładzi, drugą skróci, tu każde pociągnięcie pióra jest bez zarzutu. Prawdziwy skarb nabyłem za dwadzieścia talarów, a mam to przyznasz niezawodnie.

Andrzej nieznacznie się przysunął i ukryty za plecami doktora, rzucił wzrokiem na księgę, w tejsze chwili poznał odrazu mszał, który mu wydarli lancknechci.

— Mniemamy ten przekupień — mówił dalej arcybiskup — plótł mi jakieś androny o przepisywaczu tej księgi, oskarżał go o czarnoksiężstwo. Ach! żebym ja tylko dostał w swoje ręce tego przepisywacza, już jabym wyrok na niego miał gotowy, jabym go skazał...

W głosie dostojnego pasterza nie było nic groźnego, musiał mieć żarcik jakiś na myśli, to też doktor Hamery zawczasu się uśmiechał; znał on arcybiskupa, uczony ten mąż, miłośnik wielki literatury, marzył zapewne o tem, aby nieznanemu, a tak doskonałemu pisarzowi powierzyć ważne roboty w swojej bibliotece. Andrzej wszakże nie zrozumiał żartu, uderzyły go tylko wyrażenia „wyrok”, „skazałbym”, groźne wyrażenia w ustach księcia kościoła i biedak stracił zupełnie głowę. Padł na kolana przed lekytką, ręce złożone błagalnie wyciągnął do arcybiskupa i począł wołać:

— Ekscelencyo! Najdostojniejszy pasterzu! Ja jeden tylko jestem czarownikiem! Jeżeli kto na karę zasłużył, to ja, nikt inny!

Doktor cofnął się przełknięty nieco, arcybiskup z podziwieniem spojrzął na dziwną postać, klęczącą na drodze, człowiek ten zalany gorącymi łzami nie wyglądał na czarownika, chociaż się sam głośno obwiniał.

— Biedak prędzej waryatem być musi — rzekł pasterz łagodnie — czy go znasz, doktorze?

— Ekscelencyo — odpowiedział doktor — jeden mam sposób przekonania się, czy człowiek ten jest obłąkany, czy przy zdrowych zmysłach niedorzeczności plecie. Niech wasza ekscelencya raczy wyświadczyć mi tę łaskę i zaręczy słowem swoim, że nazwisko moje prawdziwe jest Konrad Hamery. Jeżeli on w to uwierzy, odda mi pismo mego przyjaciela, a tam znajdziemy wyjaśnienie całej zagadki.

(d. n.)

## PITTSBURG W AMERYCE.

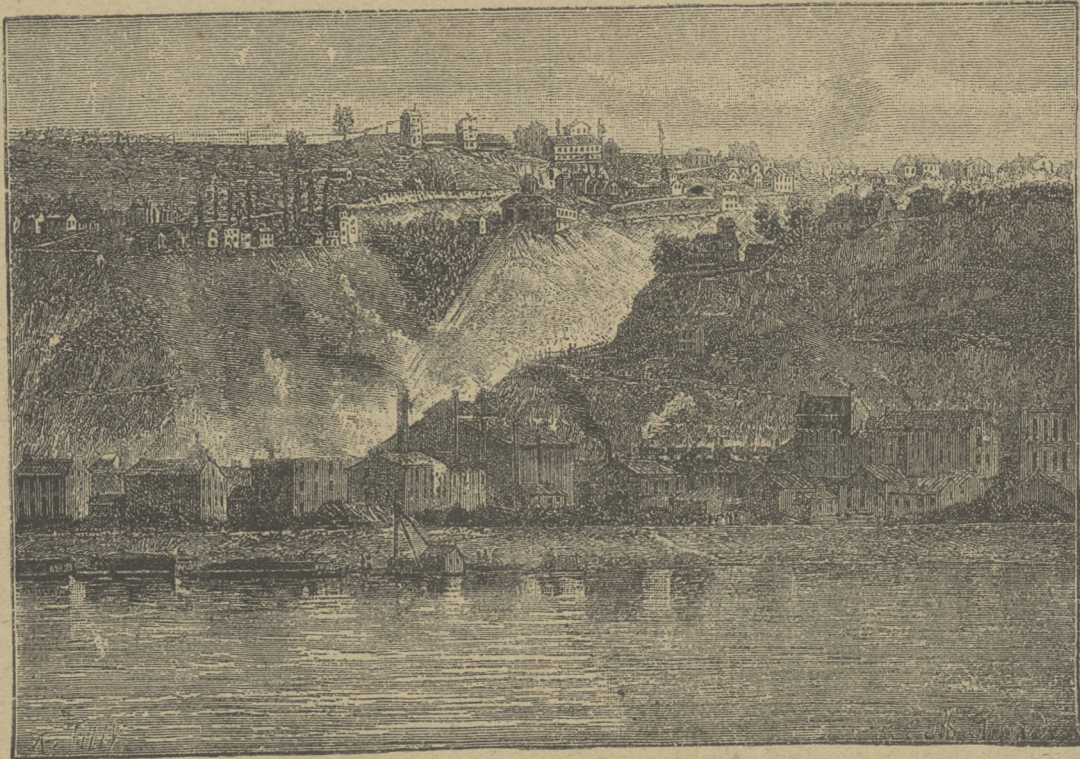
Miasto to zbudowane jest w nadzwyczaj malowniczym położeniu, na pochyłości wyniosłego wzgórza, noszącego ulubione w Ameryce imię Waszyngtona, przy zbiegu dwóch szerokich strumieni, Aleghany i Monongahela, które tworzą wspaniałą rzekę Ohio. Szpecą je tylko liczne kominy fabryk, buchające nieustannie obłokami czarnego dymu. Pittsburg jest bowiem przeważnie miastem przemysłowem i fabrycznym. Sama rękodzielnia stali Bessemera zaopatruje w ten pożyteczny metal wszystkie miasta okoliczne i wysyła znaczną ilość do miejsc dalszych. Można też widzieć w Pittsburgu niezwykłą osobliwość, oświetlenie gazem naturalnym, który podobnie jak nafta wytryska z głębi ziemi i zaraz może być wprost ze zbiornika podziemnego przeprowadzany kanałami. Niedawno wydarzył się tam wypadek, który przeraził nadzwyczaj mieszkańców, lecz na szczęście nie spowodował większych nieszczęść. W skutek jakiejś nieostrożności gaz zapalił się przy samej studni, nastąpił wybuch straszliwy, płomień podniósł się do ogromnej wysokości i przez dni kilka gaz płonął, a nie było sposobu go ugasić. Nareszcie inżynierowie zrobili przekop podziemny i przewali komunikacją wierzchniej części studni z głębszą; wypaliła się więc ogromna ilość gazu, znajdująca się blisko powierzchni ziemi, lecz w końcu pożar zagasnąć musiał, gdy doszedł do miejsca, gdzie przerwa była urządzona. Sądząc z opisów, widok tego olbrzymiego płomienia, buchającego wprost z ziemi, jak słup ognisty, wspaniale wyglądał zwłaszcza w nocy.

## PUSTYNNIK.

Wspominaliśmy już dawniej (w N-rze 22-gim) o tych osobliwszych ptakach, które zamieszkują stepy azyatyckie, w Europie zaś pojawiły się po raz pierwszy w r. 1860, potem w r. 1863 naleciały ogromnymi stadami, próbowały nawet gnieździć się w kraju naszym i innych okolicach Europy, lecz znikły wkrótce, zapewne w skutek prześiadowania. Może też ptaki, nawykłe do stepów, rozległych równin bezludnych, nie znalazły tu dogodnych do życia warunków. W roku bieżącym znowu pustynniki ukazały się niespodzia-

nie przepaski na przodzie piersi. O obyczajach tych ptaków znajdujemy ciekawe szczegóły w przyrodniczym piśmie „Wszechświecie”, a pochodzą z najlepszego źródła, z opisu słynnego podróżnika, generała Przewalskiego, który sam obserwował pustynniki na stepach azyatyckich. Przytoczymy tu dosłownie ten opis.

„Pustynniki napotykanne są na stepach i to przeważnie w najdzikszych pustyniach. Na lato posuwają się aż do kraju Zabajkalskiego, zimę spędzają w Mongolii południowo-wschodniej i w częściach bezśnieżnych pustyni Gobi. Zimują w wielkich ilościach w Alaszanie. Od końca Października widywałem tam mnóstwo tych ptaków, niekiedy w sta-



Pittsburg w Ameryce.

nie i u nas, i w różnych krajach europejskich, aż po wybrzeża Atlantyku. Przyrodnicy jeszcze nie doszli, co może skłaniać ptaki do tak dalekich wędrówek; czy głód w miejscu zamieszkania, czy zbyt liczne rozmnożenie każe im szukać nowych miejsc pobytu i z dawnych siedzib wypędza?

Pustynnik, *syrrhaptis paradoxus*, na rycinie naszej przedstawiony, należy do rzędu ptaków grzebiących czyli kurawatych. Ciało ma szczupłe i wydłużone, głowę podobną do kuropatwy o dziobie szczuplejszym, nogi krótkie, wyróżnia się od wszystkich ptaków grzebiących długimi skrzydłami ostro zakończonymi. Upierzenie tych ptaków ma barwę matową, bawełnistą, z pozoru wyglądają jakby mąką usypane. Wierzchołki przegony jest w czarne paski na tle piaskowo-rudawym, na ogonie paski się rozszerzają i upstrzone są barwą tła, czoło ma odcień żółtawy, gardziel bladą-rudawą, boki głowy i szyi odznaczają się żywszym rdzawym zabarwieniem, tył głowy i karku jest szary, podgardle bladobiałe, pierś przepasana paskiem białym, poprzecznymi czarnymi prążkami przegrodzonym, podbrzusze białe. Samica różni się nieco od samca głową ciemniejszą i brakiem białej

dach do kilku tysięcy zawierających. Główne ich pożywienie stanowią nasiona trawiastej rośliny *Agriophyllum Gobicum*, a według krajowców, od urodzaju tej trawy zależy ilość zimujących tam pustynników. Jedzą także nasiona piołunu karłowatego i roślin groszkowych.”

„Rano, o wschodzie słońca, stada zrywają się z noclegu i lecą na swoje pastwiska. Stado takie, choćby najliczniejsze, leci zawsze nisko nad ziemią, uszykowane w linii pionowej do kierunku swjej drogi. Lot ich, nadzwyczaj szybki, wydaje świszczący, podobny do szumu silnego wiatru, słychać go zdaleka, gdy stado nadlatuje. Ptaki ciągle się odzywają głosem naśladującym zgłoski: triuk - triu - riuk, triuk-triuriuk. Uważałem, że większe stada ciszej leca, małe stadka i pojedyncze ptaki zawsze hałasują w przelocie. Procz tego małe stadka wlatują często wysoko, zkad kiedy-niekiedy pojedyncze osobniki rzucają się ku ziemi, jak to czynią nasze gawrony podczas swych wędrówek jesiennych i łączą się znowu ze stadem, posuwającym się ciągle dalej.”

„W miejscu, gdzie stado ma żerować, zapada gęsto skupione i bieży naprzód, zwykle wyciągnięte szeregiem.

Bieg jest powolny i niezgrabny, ptak bardzo szybko przebiera nogami i przechyla się na boki, pozostawiając na ziemi trop podobny do zwierzątka ssącego. Ślady podobne pokrywają dosłownie niezliczoną siecią piaski alaskańskie.”

„Po śniadaniu stado leci do wody, to jest do jakiejś studzienki lub słonawej kałuży, ptaki wołają jednakże, jak się zdaje, wodę słodką. Nie spadają też wprost na ziemię, jako na swe pastwiska, lecz zawsze określają kilka kręgów dla przekonania się o bezpieczeństwie. Usiadłszy na ziemi, natychmiast piją i zrywają się, gdy więc stado jest bardzo liczne, ostatnie jeszcze nie zdążą usiąść, a pierwsze już się napiły i wleciały. Miejsca te doskonale im są znane, często muszą przebywać po kilkadziesiąt wiorst, ażeby się do

na widok człowieka już o jakie dwadzieścia kroków. W porze lęgowej pustynniki lecą także do wody stadami, a samice wysiadujące przyłączają się do tych stad, gdy w pobliżu przelatują. Chociaż ptak tam na stepach nie doznaje żadnego prześladowania od człowieka, jest bojaźliwy, nie rozumie też prawdziwego niebezpieczeństwa. Pomimo, że barwa ich upierzenia zupełnie jest podobna do odcienia pustyni, ptaki głównie ufają lotowi i zrywają się po większej części w odległości niemożliwej dla strzału. Raz przestraszony, pustynnik odlatuje daleko. Z ptaków drapieżnych, jeden tylko sokół Hendersona, właściwy tej okolicy, napada na pustynniki, lecz niezbyt łatwo mu się te łowy udają.”

Pan Władysław Taczanowski, znany przyrodnik ornii-



Pustynnik.

nich dostać. Zwykle tam lecą rano około 9 lub 10-tę godzin, rzadko popołudniu”.

„Prócz Alaszanu, napotykalimy też często pustynniki podczas zimy w dolinie Żółtej rzeki i w Mongolii południowo-wschodniej. Przebywają i w okolicach Kałgana, a skoro nastanie bardzo ostra pora na wyżynie mongolskiej, lub co gorzej wielki śnieg okryje ziemię, pustynniki nalatują licznymi stadami w okolice Pekinu i Tientsinu. Gdy pogoda się zmieni i ułagodzi, powracają do Mongolii. W ciągu zimy latają więcej w dni zimne niż cieplejsze, zapewne aby się rozgrzać.”

„Na wiosnę, jak wspomnieliśmy wyżej, część pustynników leci do Mongolii i kraju Zabajkalskiego, inne gnieźdzą się w tej samej okolicy, gdzie zimowały. Nie ścielą żadnych gniazd, lecz jaja składają wprost na piasku lub na żwirze, czasem nawet nie pogłębiając gruntu. Rzadko napotkać można pod jajami parę ździebełek trawy. W połowie Czerwca znaleźliśmy w Alaszanie trzy gniazda: w każdym z nich po trzy jaja, dwa legi zasiedzane, jeden świeży.”

„Samica nie siedzi zbyt uparcie na jajach, zrywa się

tolog (zajmujący się ptakami), podaje w tymże Wszechświecie dokładne wiadomości o tegorocznym pojawieniu się pustynników u nas.

„Otrzymaliśmy w Warszawie, pisze, z rozmaitych stron kraju przeszło 30 okazów, bitych ze stad mniej lub więcej licznych. Pierwszy okaz zabity był o dwie wiorsty od Płocka d. 21 Kwietnia, drugi prawie jednocześnie nad Pilicą ze stada, obejmującego około 200 ptaków, inne wkrótce, na południe od Końskich, z pod Lublina, Hrubieszowa, Opotowa i t. d. a największą ilość dostawiono z okolic Warszawy. Widziano je oprócz tego w bardzo wielu miejscach, nawet stado przelatujące ponad Saską Kępą, tuż pod miastem, a które zwróciło uwagę osobliwym swym głosem. Granice tej wędrowki zamykały się w naszych stronach na północy od Zambrowa (15 wiorst na południe od Łomży) do Koziatyna na Ukrainie, gdzie się ukazały dnia 20 Kwietnia i bawiły około dwóch tygodni, to jest na linii długiej przynajmniej na 200 wiorst, a nawet podobno je widywano o wiele dalej na południu niedaleko od Odessy.”

„D. 28 Maja ubito pod Bolimowem samice, która, o ile

się zdaje, zaczęła już jaja wysiadywać. Później już ich nie dostawano, lecz dochodziły nas wiadomości, z dwóch źródeł pochodzące, że się ich pewna liczba gnieździła w okolicach Piotrkowa. Choćby się to i sprawdziło, musiałyby one zostać w naszych stronach w małej stosunkowo ilości, gdyż dotąd nic o nich skądinąd już nie słychać. Ponieważ, jak nam wiadomo, w niektórych okolicach przedsięwzięto środki dla zabezpieczenia ich od prześladowania podczas lęgu, jest wszelka nadzieja, że pewna ilość mogła w tym roku wyhodować potomstwo."

Z zagranicy znów donoszą, że widziano przy końcu Sierpnia małe stadka pustynników na piaszczystych wybrzeżach morskich w okolicy cieśniny Kaletańskiej. Przypuszczano nawet, że to były młode ptaki, w tej okolicy wyhodowane przez rodziców, na wiosnę z Azji przybyłych, gdyż różniły się nieco powierzchownością od tych, które widziano w Kwietniu. Ptaki ze szczególnym upodobaniem grzeblały się w piasku, który im zapewne przypominał ojczyzną pustynią, ukrywały się pośród wydm za zbliżeniem ludzi, gdyż są niezmiernie tchórzliwe. Ciekawa rzecz, czy wędrownie to ptactwo ukaże się jeszcze gdzie na wiosnę? Gdyby mieszkańcy starali się gościnnie przyjąć przybyszów, nie tępić ich przynajmniej bez miłosierdzia, możeby nam przybył nowy gatunek ptaków, bo pustynniki widocznie okazują ochotę osiedlenia się w Europie.

## GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

O Francuzie René Caillé szejka nasz niewiele wiedział. Oto mniej więcej, co o nim opowiadał:

— Wyruszywszy z Senegalu, podróżnik ten udał się z powrotem do swojego kraju przez Marokko. W ciągu tej podróży cierpiał nieustannie niedostatek i trudy najokropniejsze. Zagrożony ciąglemi niebezpieczeństwami, musiał się przebierać, a często ukrywać, w Timbaktu bawił niedługo, tylko od 20 Kwietnia do 3 Maja r. 1828. Znalazłem te daty zapisane w „Księdze pamięci” ojca mego, Sidi Mohameda. Caillé był w położeniu nadzwyczaj przykrem, gdyż konsul francuzki, w Tripolisie mieszkający, odmówił mu wszelkiej opieki, obawiając się narazić władzom miejscowym. Co jest niemniej smutne, Anglicy wyraźną mu okazywali niechęć, prześladowali prawie, a to przez zazdrość. Niemiłą im była myśl, że Francuzowi udać się może przedsięwzięcie, którego Anglik nie umiał pomyślnie doprowadzić do końca; major Laing uchodził zaś pomiędzy swoimi za jednego z najzdolniejszych oficerów. Tak twierdził ojciec mój, Sidi Mohamed. Oby Allah miał miłosierdzie nad jego duszą.

Po chwili milczenia szejka mówił dalej:

— Nietylko ojciec mój przyjmował europejskich podróżników, jeden z nich był moim gościem. Był to mądry i uczony „Kitabi”, (wyznawca biblii), pokochałem go serdecznie, chociaż był niewiernym. Nieraz też myślałem sobie, że i niewierni mogą być miłymi Allahowi, jeżeli wolę jego pełnią i my nie powinniśmy nimi pogardzać. Podróżnik ów był „Inglisem”, a ja w tych czasach sprzyjałem ludziom tego narodu. „Inglisy” wyświadczały nam dużo usług niezaprzeczonych; rzetelną przyjaźń okazywali braciom naszym, wyznawcom proroka, dawali czynną pomoc w potrzebie sułtanom Abder-Ramanowi i Abd-ul-Medżydowi. My tu w Sudanie wiedzieliśmy dobrze o tem.

— W jakim roku to było? — zapytał p. Lemercier.

— Inglis ten kilka lat spędził w naszym kraju — odpowiedział szejka — od r. 1850 do 1855.

— A jakże się nazywał?

— Abd-el-Kerim Barth.

— Domyślałem się tego — zawołał Francuz — mój drogi szejku, ten podróżnik nie był wcale Anglikiem, tylko Niemcem najczystszej krwi, Niemcem z Hamburga.

— Czy być może! — wykrzyknął szejka — no, bardzo rad jestem z tego, bo do Inglisów zupełnie straciłem serce.

— Trzeba jednak dodać — mówił dalej p. Lemercier — że doktor Henryk Barth, uczony Niemiec, podróżował pod opieką angielską, lordowie Palmerston i Clarendon szczególnie mu sprzyjali. Były to czasy, gdy Anglicy wspólnie z Niemcami starali się łąd afrykański zagarnąć w swoje ręce. I tak: dr. Vogel podróżował w towarzystwie dwóch angielskich oficerów, a w wyprawie Barth'a i Overweg'a brał udział Anglik James Richardson. Obecnie wszystko się zmieniło, przykładna ta zgoda ustała, a Niemcy i Anglicy usiłują ubiedzić wzajemnie w opanowaniu tutejszych krain i zakładaniu osad w Afryce. Co się tycze podróżnika Barth'a, słusznie go ceniłeś tak wysoko, zasługiwał on ze wszech miar na twój szacunek i przyjaźń, zacny to był i dzielny człowiek w całym znaczeniu tych wyrazów.

Dowiedzieliśmy się następnie od szejka, że dr. Barth bawił w mieście Timbaktu od 6 Września r. 1853 do 19 Kwietnia roku następnego.

— A Oskar Lenz, inny uczony Niemiec, czy także był gościem twoim? — zapytał Francuz.

— Nie, tego nie widziałem, chociaż nazwisko mi jest znane. Nie byłem wówczas w mieście, gdy podróżnik ten zatrzymał się tu w przejeździe z Marokko do Senegalu.

Te rozmowy z poczciwym szejkiem rozrywały nas trochę w nudach. Ale o czasie zdjęcia obłężenia, już i dzienniki kiedyniekiedy dochodziły do miasta. W jednym z angielskich wyczytaliśmy wiadomość o wielkiem zwycięstwie, odniesionem pod murami Timbaktu przez mężne wojska Auelimidenów, pod wodzą angielskich oficerów. Podnoszono w ten sposób ową porażkę Imestana, o późniejszych wypadkach, o zdjęciu obłężenia, nie było żadnej wzmianki.

Mieszkańcy tutejsi mają także swój dziennik, przywożony z Insalah, dziennik mużułmański, noszący tytuł „Felk”, co znaczy Wszechświat.

W Europie nikt prawie nie ma o tem dokładnego wyobrażenia, jak ściśle związki łączą pomiędzy sobą narody mużułmańskie, rozproszone po świecie. Niemało się przyczynia do tego ów dziennik „Felk”, drukowany w Konstantynopolu pod redakcją pewnego Syryjczyka, który czas jakiś mieszkał w Paryżu i Londynie. Jest to mużułmanin fanatyk, dziś jeszcze marzący o tem, aby świat cały i wszystkie narody zagarnąć i podbić pod władzę wyznawców Proroka. Dziennik, głoszący te zasady i nawołujący do wojny świętej przeciw niewiernym, drukuje się w stu tysiącach egzemplarzy i rozchodzi na wszystkie strony świata, czytany jest zarówno w Turcyi, jak w Sudanie, Algerze, w Samarkandzie i Mogadorze. Felk ma współpracowników i korespondentów w krajach najrozmaitszych, w najbardziej zapadłych i oddalonych zakątkach mahometańskiego świata, wliczymy tu główniejsze tylko: Marok, Alger, Tunis, Tripolis, Egipt, Sahara, Sudan, Arabia, Syrya, Persya, Turkestan, wreszcie całe Indie, całe państwo chińskie. Widziałem nieraz dziennik „Felk” w Timbaktu i czytałem dewizę, wypisaną na każdym Nrze u góry zaraz pod tytułem: „Prorok wyrzekł, że wojna z niewiernymi trwać ma aż do dnia Sądu ostatecznego; będą przerwy, nie będzie nigdy pokoju”.

XXVI.

Poselstwo.

Pewnego rana ujrzelśmy małą karawanę, przybywającą do obozu Tademeketów. Orszak złożony z mężczyzn i kobiet towarzyszył jakiejś dostojnej osobie, która jechała w palankinie wspaniałym, na pięknym wielbłądzie mehara. Już z daleka podziwialiśmy ten palankin, przyozdobiony w kutasy i frenzle różnobarwne, gdy się przybliżył, ujrzelśmy w nim młodą kobietę w stroju bogatym. Reszta wielbłądów wiozła oczywiście służbę tej pani i pakunki.

Wielbłąd, dźwigający ów wspaniały palankin, zatrzymał się przed namiotem Auaba, młoda kobieta wysiadła i pokłon głęboki złożyła u progu namiotu, dotykając czołem ziemi, „tarzając je w prochu”, według wyrażenia wschodniego. Z namiotu wyszedł natychmiast trubadur, pełniący także obowiązki mistrza ceremonii na dworze swojego pana, podniósł ją i wprowadził do namiotu.

W kwadrans potem młoda kobieta wyszła znowu i prowadzona przez trubadura, szła prosto w stronę naszego mieszkania. Mogliśmy z okna przypatrzeć jej się dokładnie. Była wysoka, kształtna i niepospolicie piękna, cerę miała śnieżnej białości i przepyszne włosy tej barwy złocistej, którą Tycyan upodobał sobie i często nadaje kobietom w swoich obrazach. Z ruchów, z postawy pełnej szlachetności, wyglądała na wielką panią, młoda była bardzo, nie mogła mieć więcej nad lat dwadzieścia.

Trubadur zastukał do drzwi naszych, Karol wyszedł i po dość długiej rozmowie, doszedłszy wreszcie do porozumienia, wprowadził młodą panią do pokoju ciotki Guduli, trubadur odszedł. Pani Gudula zachwycona była widokiem afrykańskiej piękności, włożyła na nos okulary, aby jej się lepiej przypatrzeć, a ponieważ nie rozumiała języka Tuaregów, przysłała Karola po mnie i Francuza.

Oświadczyliśmy nowo przybyłej, że będziemy służyli za tłumaczy i prosiliśmy, by raczyła wypowiedzieć cel swoich odwiedzin. Ona wówczas wydobyla z pod tuniki małą gitarę o trzech strunach, zwaną w Sudanie „molos”, nastroiła ją na ton pewny, stosowny do tego, co nam powiedzieć miała i śpiewnym głosem, uderzając kiedyśniedzi w struny gitary, zaczęła od przedstawienia swjej osoby.

— Jestem „lella” (panna) Sa-dyaba — mówiła — urodziłam się w Tin-Tahu, w krainie Tademeketów, o dwa dni drogi od Tin-Bektu. (Timbuktu) Ojciec mój był wojownikiem, wojownikami byli przodkowie jego, a i syn nie odrodził się od nich, dzielny i mężny jest Auab, wódz Tademeketów, brat mój rodzony, pan mój i władca.

Tu p. Gudula wydała lekki okrzyk zdziwienia, Si-dyaba umilkła na chwilę, spojrzała na nią przenikliwie, wreszcie dotknęła znowu strun gitary i dalej ciągnęła:

— Wiedz o tem, cudzoziemko, że nie mam małżonka i nigdy go mieć nie będę. Od dzieciństwa na to byłam poświęcona, aby strzedz skarbów królów Tademeketu i zapisywać pamiętne czyny bohaterów na skórze słoniowej, na tarzach wojennych. Te obowiązki spełniam święcie.

Dowiedzieliśmy się później, że Si-dyaba była rzeczywiście jakby kapłanką lub westalką, strzegącą archiwów państwa i historycznych pamiątek; zwano ją powszechnie „Perłą Tademeketu”. P. Gudula słuchała z uwagą i zajęciem, już nie przerywała, więc młoda kobieta deklamowała dalej:

— O cudzoziemko! Przysłał mnie do ciebie brat i pan mój Auab el Feredzi. On jest bogaty i potężny, ten pan mój ukochany, ma sześć tysięcy czarnych niewolników, na różnych targach kupionych. Posiada niezmiernie trzody owiec o długich ogonach, zębów i wielbłądów na pastwiskach Tagenetu i Tilimsi, nie zdołałby zliczyć swych koni, dromaderów i innych bydła.

P. Gudula zaczynała się troszkę niecierpliwić, utarła hulaśliwie nosa w chustkę kraciastą, kichnęła, potem pochyliła mi się nad uchem i rzekła półgłosem:

— Bardzo to wszystko piękne, ale cóż mnie to może obchodzić?

— Troszkę cierpliwości, kochana pani — odszepnąłem w odpowiedzi — wysłuchajmy do końca, a dowiemy się, co to poselstwo ma znaczyć.

Si-dyaba tymczasem na wyższy ton nastroiła gitarę i uroczysty rytm nadała swjej śpiewnej deklamacyi.

— O cudzoziemko! Auab, brat mój i pan, posiada skarby ukryte w grocie tajemnej Dżebel Nur; prowadzi do niej labirynt, którego kręte ścieżki mnie jednej są znane. Te skarby składają się z tysięcy miar złotego proszku, i tysięcy dinarów, i tysięcy monet z wizerunkiem królów Tademeketu. Są tam oprócz tego zbroje bogate, z ozdobami ze złota, srebra, koralu i kości słoniowej.

— I czego ona chce odemnie, ta panienka? — mruknęła p. Gudula — ładna jest, niema co mówić, ale nudna troszeczkę.

— Pani bo także śpieszy się, jak młoda panienka — odezwał się — słuchajmy, nie może być, abyśmy się nie dowiedzieli czegoś ciekawego.

Si-dyaba nastroiła gitarę wyżej jeszcze, uderzyła parę razy w struny i śpiewała już prawie:

— O cudzoziemko! Pan mój i brat jest potężny i bogaty, nie pragnie więcej złota, nie potrzebuje go wcale. On pożąda teraz innego, cenniejszego skarbu. Od kiedy zakosztował mózgu hyeny, pragnie zostać mężem najpiękniejszej kobiety. A tą najpiękniejszą z najpiękniejszych ty jesteś, o cudzoziemko, do ciebie przybywam w poselstwie...

P. Gudula utarła nosa z takim hałasem, że śpiewaczka umilkła zdziwiona, p. Lemercier i ja z trudnością powstrzymaliśmy wybuchy szalonego śmiechu. Wszyscy w tej chwili zrozumieliśmy omyłkę Si-dyaby. Poselstwo jej odnosiło się oczywiście do p. Katarzyny, tymczasem, gdy ją wprowadzono do p. Guduli, sądziła, że to ta cudzoziemka zawróciła głowę jej bratu. Ciotunia, pomimo czterdziestki, nieźle jeszcze wyglądała; może zresztą Si-dyaba zdziwiona była cokolwiek wyborem brata, lecz czuła się obowiązana rozkazy jego wykonać. Roztropność Karola nie mała także zapewne się przyczyniła do tej zabawnej omyłki.

Musiła w końcu i Si-dyaba dorozumieć się czegoś, patrząc na nasze miny, gdyż obaj z Francuzem dusiliśmy się od śmiechu, powstała więc i wyszła śpiesznie, z wyrazem wyrzutu spojrzawszy w złote okulary ciotki Guduli.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

Opowiadaliśmy czytelnikom naszym o wspaniałych darach, przysyłanych ze wszystkich stron świata dla uczczenia jubileuszu kapłańskiego Ojca S-go Leona XIII-go. Wspominaliśmy też między innymi, że duchowieństwo dyecezyi strasburskiej ofiarowało bardzo piękny model zmniejszony ogromnego zegara, który jest ozdobą katedry strasburskiej i śmiało do cudów świata zaliczony być może. Z wykonaniem tego modelu wiąza się okoliczności nadzwyczaj zajmujące, o których także wspomnieć warto.

Podczas wojny francuzko-pruskiej w r. 1870 miasto Strasburg było bombardowane przez Prusaków, a że to w chwili walki ludzie zazwyczaj przemieniają się w barbarzyńców, nikomu nawet na myśl nie przyszło oszczędzać wspaniałe gmachy, arcydzieła sztuki. Prusacy bez żadnego miłosierdzia ciskali straszliwe bomby na miasto, ani zważając na to, gdzie padają; katedra strasburska, jedna z najpiękniejszych gotyckich świątyń w Europie, była tak samo wystawiona na zniszczenie, jak i inne budynki, ucierpiała też niemało.

Gdy się to działo, mieszkańcy pobliskiej wioski wyszli na wzgórze, z kądem widzieć mogli jak na dłoni miasto całe. Było to w nocy, ogniste race, płomienie licznych pożarów, oświetlały straszliwe to widowisko. Pociski tak gęsto padały na wieżę katedralną, że groziły co chwila zegarowi, umieszczonemu na niej; ten zegar, nie mający sobie równego, chluba miasta, arcydzieło genialnego mistrza mechanika, mógł jak nic być roztrzaskany i zgruchotanym na miazgę. Wszyscy ubolewali nad tem niezmiernie, a wtem młodzieńcki chłopaczek, dziecko prawie, syn prostego wieśniaka, zbliżył się do kilku starszych osób i zawołał uniesiony zapalem:

— Jeżeli nieprzyjaciele zniszczą nasz wspaniały zegar, ja zrobię drugi podobny.

Nikt nie zważał na te słowa, zegar na szczęście ocalał, ale chłopiec, nazwiskiem Aloizy Lorentz, wbił sobie w głowę, że on zrobi koniecznie zegar podobny do katedralnego. Zabrał się niezwłocznie do dzieła, strugając i wyrzynając

z drzewa kółka, deseczki, pracując usilnie, zrobił w rzeczy samej coś nakształt zegaru. Nabrał przytem wprawy, przyrodzone jego zdolności do mechaniki rozwinęły się niezmiernie, chociaż był samouczkiem, nie miał żadnego wyższego wykształcenia, nikt go mechaniki nie uczył.

W kilka lat później rozpoczął wykonanie innego zegaru katedralnego, a tym razem tak mu się doskonale udało, że biskup strasburski nabył od niego model i przesłał do Rzymu, jako dar jubileuszowy. Zegar ten ma około trzech metrów wysokości, musi też być wyrobiony pięknie i starannie, skoro dostąpił tak wielkiego zaszczytu. Niezgrabnej jakiejś roboty nie posłanoby przecież na taką wystawę, gdzie mnóstwo najokazalszych dzieł sztuki widzieć można.

Widzimy z tego przykładu, jak to szczerą, silną wolą, z wytrwałością i cierpliwością połączoną, prawdziwych cudów dokonywa. Jakże ten chłopiec napracować się musiał, ileż razy robota mu nie szła i trzeba było na nowo rozpocząć, nim wreszcie, próbując, po omacku niejako każdą rzecz robiąc, doszedł do tego, że marzenia swe spełnił i przedsięwzięcie doprowadził do końca.

### SZARADA.

(Od Gołąbki pocztowej dla Sokoła z nad Narwi).

*Pierwsza druga jest siłą wszechpotężną w świecie,  
A jeżeli chcecie,  
Podwójną liczbę oznaczać też może.  
Druga trzecia w kłopotcie często dopomoże,  
Gardzić nią nie należy, ilekroć jest szczerą,  
To skarby zawiera.  
Wszystka jedynie bogaczom przystoi,  
Choć i uboższy czasem się w nią stroi,  
Jeśli na drogę nierozsądku wkracza,  
Udaje bogacza.*

### ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(Od Jaskółki z nad Sekwany dla kochanych czytelniczek „Wieczorów”).

Palermitanka—Brzydotka—Sarenka—Turkawka—Kreolka—Swoboda—Jesień—Muszka—Szarża—Niezabudka—  
Wybrać z każdego z tych pseudonimów po jednej literze, aby utworzyć tytuł słynnego poematu.

### HOMONIMY.

(Pegaz Skrzydlaty).

Gdy pomścił kłęskę swą Turków kłęską  
Pod Parkanami król nasz Jan trzeci,  
Uwolnił gród ów dłonią zwyciężką,  
Krzyż mu wracając, co dotąd świeci.  
Pod temże miastem, tegoż imienia;  
Wpadając w Dunaj, fali się rzeka;  
Tak się i waga zwie do ważenia,  
Najlepiej wskaże wam ją apteka.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

#### Prozy i poezji:

W każdym ustach żal młodości,  
W każdym sercu chęć jej zwrotu,  
Pory szczęścia i miłości,  
Ognia, myśli, ducha lotu.  
Lecz czyż słońce południowe  
Mniej ogniste, niż u wschodu?  
Czyż gdy do snu skłania głowę,  
Mniej ma blasku i obwodu?

\* \* \*

A duch, światło, co nie gaśnie,  
Promień słońca przedwiecznego,  
Miałby stygnąć przez to właśnie,  
Ze ogniska bliższy swego?  
Miałby słabnąć razem z ciałem,  
On! którego cel na ziemi:  
Wzrość i wzmódz się życiem całem,  
By się zrównać z niebieskimi?

\* \* \*

O! kto w młodych dniach zapału  
Prawdy Pańskiej słów usłucha,  
Serca nie da w służbę ciała,  
W świata wiarę, pojmie ducha;  
Duch takiego nie starzeje,  
I gdy ciało, plewa marna,  
Kruszy się w proch i niszczaje,  
Rośnie w niebo, jak cedr z ziarna.  
Starość ducha A. E. Odyńca).

#### Łamigłówniki głoskowej:

P t r w k p d s A i p w t n r a A  
a O a i o r e T o W r o a i a L d  
r r D s r a S r s i U ł b p B g y  
y u o Ł f G n y t k s G o O k e g  
ż Ń m a U a a j a a y a R n a r a

PREŚĆ: Jesienią, wiersz (z drzew.). — Czarownik moguncki, (c. d.). — Pittsburg w Ameryce, (z drzew.), — Pustynnik (z drzew.). — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.). — Rozmaitości. — Łamigłówniki, rozwiązania. Dodatek: Kot w bucikach, (z drzew.). — Dwa zajęczki, wiersz p. Romanię Kamienską. — Chłopiec w niebieskich okularach, naśladowała z francuzkiego J. — Łamigłównka i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów, p. Michalinę Zielińską.



## KOT W BUCIKACH.

— Małgorzato, moja droga Małgorzato, daj mi parę pończoszek Lulutki, z tych maciupusieńkich, co to ona już z nich wyrosła i na nic niepotrzebne. Daj, daj, Małgorzato, kochaneczko, mamusia pozwoliła.

— Żebyż to teraz złapać Maciusia — mówiła Hela sama do siebie, wybiegając z pończoszkami do ogrodu.

Maciuś był to kotek bury, bardzo ułaskawiony i chętny do rozsądnej zabawy. Trzeba jednak przyznać, że Helenka nie zawsze rozsądne zabawy wymyślała. Kotek lubił naprzykład, gdy go zapraszała na balik, dawał się nawet karmić łyżeczką, chociaż wolałby być



Kot w bucikach.

Tak wołała Hela błagalnie, składając rączki i przytulając się do piastunki Małgorzaty. Ciągłe tak pożyczala to lub owo z garderoby młodszej siostrzyczki Lulutki dla swoich lalek. Małgorzata niewielką miała ochotę wstawać i szukać owych pończoszek, poszła wreszcie bez pośpiechu do szuflady i wyjęła żądane pończoszki, rzeczywiście malutkie takie, że tłuste nóżki Lulutki jużby w nie z pewnością wcisnąć się nie dały.

— Wyborne będą, przewyborne! Dziękuję, Małgorzato, dziękuję, Lulutko.

I głośny pocałunek złożyła na różowej buzi dziecięcy, a ta uśmiechnęła się do niej, chociaż nie rozumiała wcale, za co jej Hela dziękuje.

pić mleczko po swojemu, wylizując je z miseczki języczkiem. Ale krzywił się, ile razy dziewczynka przybiegała do niego obładowana różnymi łachmankami.

Maciuś nie miał upodobania do maskarady, nie rozumiał, poco go przebierano w jakieś dziwaczne czapeczki, kaftaniczki, kokardki, skoro Pan Bóg mu dał takie ładne futerko i było mu w niem do twarzy. A Hela znów największą w tem znajdowała przyjemność, aby go wystroić w rozmaite maleńkie ubranka Lulutki, cieszyła się i radowała, wołając, że wygląda zupełnie, jak dzieciątko.

— Jak tobie ślicznie, Maciusiu, w tym czepeczku z różowemi wstążeczkami — mówiła do niego — pocze-

kaj, pójdziemy do zwierciadła, patrz, jak pysznie wyglądasz.

Ale Maciuś mruczał niechętnie, w zwierciadło spojrzeć nawet nie chciał i wyrwawszy się w końcu z rąk Heli, zmykał jaknajprędzej, kichając i otrząsając się, wiadać było, że wcale nie był temi pysznymi strojami zachwycony.

Otóż i dnia tego, jak tylko spostrzegł z daleka dziewczynkę, niosącą pończoszki, zaraz przyczał się w krzakach i siedział tam cichuteńko. Lecz Hela tak uprzejmie, tak miłym głosem go wołała: Maciusiu! Kici, kici kici! Kić kić! że kociak, trochę łakomy, zaczął się obliżywać i przyszło mu na myśl, czy to czasem nie na balik zaprasza go dziś Helunia? W rączkach miała coś białego, może to takie ciasteczka, przysmaczki? Wsunął się więc kocina z krzaków, ku wielkiej radości Heluni, która go zaraz chwyciła w objęcia.

— Grzeczny koteczek, kochany koteczek — mówiła, głaszcząc go i pieszcząc — daj łapki, obaczysz, jak ja tu ciebie ustroję. Widzisz, co to za śliczne pończoszeczki, jakby umyślnie robione na ciebie, toż dopiero będziesz podobny do tego sławnego kota w bucikach z bajeczki, a dotąd musiałeś chodzić boso, biedaku, ale już tego więcej nie będzie. No, poprobuuj, prawda, że daleko ci teraz wygodniej w pończoszkach.

Maciuś zamiauczał żałośnie, widocznie odmiennego był zdania, gdy Hela postawiła go na ziemi, zaczął podskakiwać na dwóch bosych łapkach, a obute podnosił i miał minkę bardzo nieszczęśliwą.

— Ach! tobie pewnie niewygodnie, bo masz pończoszki na dwóch łapkach tylko, a ty na czterech chodzisz. Poczekaj, poczekaj, koteczku, poradzimy na to.

I pędem pobiegła do pokoju Lulutki, wołając już od progu:

— Małgorzato, moja złocista, moja brylantowa, jeszcze parę pończoszek!

— A toż do czego? — odrzekła piastunka — któż to widział tak często zmieniać pończochy lalkom?

— Ach, moja Małgorzato, jedną parę, ostatnią!

— Niechże Hela pamięta, że to ostatnia — mruknęła piastunka niechętnie i chcąc się pozbyć natrętniej dziewczynki, dała jej pończoszki.

Nieszczęśliwy Maciuś nie mógł nawet uciec, pończoszki z grubej bawełny, jakie zwykle noszą malutkie dzieci, zawiązane sznurkami u góry, krępowały mu łapki zupełnie, jak kajdany, nie mógł nieborak się ruszyć. Cóż dopiero, gdy Hela z tryumfem powróciła i włożyła mu drugą parę na drugie dwie nóżki. Nic nie pomogły jęki i żalostne skargi, dziewczynka nie chciała zrozumieć, że Maciusiowi obuwie żadnej nie sprawiało przyjemności.

— Bo to tak widzisz z początku — wmawiała w niego — o, patrz, koteczku, ja przecież zawsze noszę pończoszki i nawet buciki, ale już jestem przyzwyczajona, więc mi tak bardzo dobrze. Zobaczysz, i ty się także przyzwyczaisz.

Ale Maciuś odpowiadał na to coraz żałośniejszym miauczeniem. Helenka puściła go na ziemię i odbiegła do innej jakiejś zabawy, a kot, widząc, że nie ma ratunku, rad nie rad powędrował kulejąc na obutych łapkach.

Ogród był oddzielony murem od dziedzińca folwarcznego, poza tym murem wznosiły się różne zabudowania gospodarskie, śpichlerze, gumna, a po różnych kątach gnieździło się mnóstwo tłustych szczurów i myszek. Maciuś tam często polował, zawłókł się i teraz pod mur, udało mu się nawet jakoś wskoczyć na niego, bo od strony ogrodu był znacznie niższy. Tu przysiadł biedny kociak wśród gałęzi wiciokrzewów i smutnie się zamyślił nad swoim położeniem. Nogi miał skrępowane, ani skoczyć zręcznie, ani chwycić co pazurami; ukrył się nieborak, żeby przynajmniej szczury i myszy nie obaczyły tej jego hańby i nędzy.

A wtem słyszy łoskot jakiś po drugiej stronie muru. Maciuś ostrożnie wystawia łebek z ukrycia, patrzy, ach, co za widok! Pies podwórzowy przewrócił kubeł z jakąś rośliną, a przestraszony tem zapewne i w obawie kary, umknął śpiesznie do swojej budy, porzucając miskę pełną smakowitego mleka. Jegomość szczurek tymczasem wysunął się z nory pobliskiej i zabrał się do podwieczorku tak zupełnie, jakgdyby mleko dla niego tam stało.

O, tego już zanadto było dla Maciusia. Onby miał taką gratkę opuścić? Ma tu naraz przed sobą, i wyborne pieczyste, i mleczko nie do pogardzenia. Zapomina o nieszczęsnych pończoszkach, o niedołęztwie swoim, rzuca się jednym susem z muru... Niestety! Gdyby miał łapki swobodne, nigdyby nie chybił, lecz tak ze wstydem spada ociężale o parę kroków od szczurka, a ten nie ma obuwia, podczas gdy kocina ruszyć się nie może, daje drapaką do nory i dobrze się w niej ukrywa.

Maciuś był taki zły, że mu już nawet i od mleka odpadła ochota. Któraś z dziewcząt kuchennych zlitowała się nad nim i uwolniła od pończoszek, ale kot zawziął się tak na Helunię, że z tydzień do zabawy go przywołać nie mogła. Na pieszczotliwe jej wołania odpowiadał groźnem mruczeniem, raz nawet, gdy chciała go złapać, podniósł łapkę i podrapał dziewczynkę. Helenka zrozumiała na koniec i nigdy już kota nie ubierała, ani w czepeczki, ani w trzewiczki.

## DWA ZAJĄCZKI.

Żyjąc w pobliżu zajączki małe,  
Skacząc pospołu z skały na skałę,  
Taką przyjaźnią tchnęły dla siebie,  
Że się znalazły zawsze w potrzebie.  
Gdy jeden sięga po listków wiązkę,  
Drugi mu trzyma łapką gałązkę,  
Gdy ten, chcąc usnąć, oko zamruża,  
Tamten mu w głowach staje za stróża;  
Wspólne ich trudy, wspólna swawola,  
Wspólną im była zła, dobra dola.

\* \* \*

Raz gdy w podskokach sadzą pod górę,  
Wypada na nich wilczyisko bure;  
Jeden ledz musi, no, niema rady,  
Wilk zaś obudwu pragnie zagłady.

I już nad młodszym paszcza rozwarta,  
Lecz starszy zwinnym obrotem charta,  
Jak błysk, przed nosem zbója przemyka...  
Wilk tam, sam głową, a parka zmyka.  
To leci w prawo, to leci w lewo,  
A za nią krzaki, kamienie, drzewo,  
I nim wilczyisko oprzytomniało,  
Ślady dwóch druhów jak zaorało;  
Zwierz pełen złości skomlił dzień cały,  
Że dwa zajączki tak się kochały.

*Romania Kamieńska.*

## CHŁOPIEC W NIEBIESKICH OKULARACH,

naśladowała z francuzkiego J.

— Ach, mamó, jakżeśmy się ubawili i uśmieli serdecznie — wołały zadyszane dzieci — nic już chyba nie może być śmieszniejszego.

— Cicho, cicho, hałaśliwa dziatwo — odrzekła pani B. całując nadbiegające córeczki i synka, a ocierając troskliwie pot z ich czoła. — Usiądźmy na ławce, odpocznijcie, po chwili opowiecie mi powód waszjej wesołości.

— Ja powiem pierwsza — zawołała Paulinka.

— Ty zawsze chcesz sama wszystko powiedzieć, pozwólże i innym mówić — odezwał się Edward — mamó, to chłopiec w niebieskich okularach.

— Jest tego wzrostu, co ja — przerwała Elżunia — a wygląda na staruszka, opiera się na ładnej dziewczynce, możnaby sądzić, że idą odwiedzić swoje wnuczki, lalki, przebrani za babkę i dziadka!

Pani B. słuchała opowiadania ze zdziwieniem, gdy na widok gromadki, wychodzącej z alei poprzecznej publicznego ogrodu, śmiech znowu powstał wśród dzieci. Zbliżająca się gromadka złożona była z trzech osób i białego pieska, skaczącego radośnie, zachęcającego niejako i swoich państwa do wesołości. Starsza kobieta towarzyszyła jako opiekunką dwojgu dzieciom, dziewczynce i chłopczykowi w niebieskich okularach, tak poważnie wyglądającym, że usprawiedliwiały w zupełności porównanie uczynione przez złośliwą Elżunię.

Bardziej doświadczona niż dzieci, a mniej skłonna do żartów, pani B. domyślała się jakiejś bolesnej tajemnicy pod tą przedwczesną powagą i dużemi okularami chłopca. Zbliżyła się do opiekunki dwojga dzieci, uprzejmie i łagodnie zaprosiła ją do swego towarzystwa, spodziewała się bowiem dowiedzieć od niej o przygodach chłopczyka i dać przy sposobności naukę swym dzieciom. Życzenia jej spełniły się. Stara kobieta, widząc tyle dobroci w słowach i spojrzeniu pani B. na jej prośby zaczęła wzruszonym głosem opowiadać historią podsłuchaną przezemnie, którą wam w całości powtórzę.

Tadeusz D. i siostra jego Helenka mieszkali wraz z babką na trzeciem piętrze przy ulicy X. Matka im umarła, gdy straty swój jeszcze pojąć nie mogli: małeńkie dzieci czują żywo miłość matki, lecz jej nie rozumieją. Tadeusz wprowadził zachował niewyraźne wspomnie-

nie o „bladę pani”, jak nazywał swą mateczkę, czasem mówił o niej, czem Helenkę pobudzał do przestraszenia.

Pani D. uległa po długiej i ciężkiej chorobie; przewidywała biedna niedolę swoich dzieci, drżała o nie, dokładała wszelkich starań, by rozbudzić w nich wzajemne gorące przywiązanie, mające podtrzymywać brata i siostrę w dalszym ich życiu. Trzyletni wówczas Tadeusz, wychowany troskliwie, był dobrym i kłiwym chłopczykiem, nieszczęśliwa matka jego w chwilach pewnej ulgi w cierpieniu brała synka do łóżka, a wskazując mu kolebkę, w której spała Helenka, mówiła:

— Kochaj tego aniołka z całego serca, to twoja siostrzyczka.

Tadziulek wtedy schodził z łóżka chorój, brał w obie dłonie główkę dziecinki i całował ją z uwielbieniem. Helenka zbudzona, otwierała trwożliwie oczęta, a spotykając słodkie i czułe spojrzenie brata, podawała mu z uśmiechem rączki.

Podczas jednej z takich chwil rzewnych, któreby winny były raczej uzdrowić każdą matkę, pani D. osierociła rodzinę swoją, by połączyć się z Bogiem. Mąż jej, jako agent towarzystwa ubezpieczeń, w ciągłych był rozjazdach i nie mógł zajmować się dziećmi, które przeszły pod wyłączną opiekę zrozpaczonej babki, odnajdującej straconą córkę w swych wnukach. Z wiekiem wzrastała i wzajemna miłość rodzeństwa: starszy Tadeusz kochał siostrę uczuciem opiekuńczym, Helenka zaś, więcej pieśzcotliwe mająca usposobienie, wymagała nieraz do zbytku tej opieki, tak chętnie udzielanej.

Chłopiec, doszedłszy do lat siedmiu, słabowity w dzieciństwie, małego był wzrostu, nie lubił zabaw ni gier hałaśliwych, za którymi przepadała silniejsza i zdrowsza od niego Helenka. Nie rozumiała ona w samolubstwie dziecinem, jak bardzo przeszkadzała Tadeuszowi, odrywając go nieraz od książek z obrazkami, w których największą znajdował przyjemność. Lecz że dogodzenie Helence było największą rozkoszą dla jej brata, rzucał więc książki, łamigłówniki, zabawki, nie zważał na znużenie, gdy dobrze znany a donośny głos odezwał się:

— Tadziu, chodź do ogrodu, zabawimy się w chowanego!

Znając Helenkę, łatwo można było pojąć ubóstwienie brata dla tej miłej, ślicznej dziewczynki, wzbudzającej we wszystkich szczerą życzliwość. Miała ona cudne niebieskie oczy, o dziwnie pociągającym wyrazie, a długie blond loki spadały w grubych zwojach na jej szyjkę, skrzydeł jej tylko brakowało, a Tadeusz uważałby ją niewątpliwie za anioła stróża, któremu go matka poleciła. Ale Helenka nie była wcale aniołem, miała, jak zwykle dziewczynki, różne wady, które doprowadzały nieraz do zmartwienia jej babkę; była już bardzo prózną, a nade wszystko ciekawą, bardzo ciekawą, przypominała tem naszą matkę Ewę.

Pewnego dnia Jan służący, wysłany popołudniu na miasto, wrócił po długiej niebytności do domu z dużemi paczkami, złożono je tymczasowo na półkach w przedpokoju. Widząc to Helenka, której uwagi nic nie uszło, rozmyślać zaczęła, a wyrachowawszy z mozołem na palcach dzień miesiąca, przekonała się, że to był 15-ty Marca, a zatem wigilia jej urodzin. A więc to dla niej

przeznaczone są te paczki, jakież to szczęście! Lecz co zawierają? Widziała już w nich próżna dziewczynka sukienki i gałganki, najwięcej przez nią upragnione. Nie naśladowała ona swych rozsądniejszych rówieśniczek, które lubią tylko dla lalek gałganki i same z nich stroje szyją dla tych swoich córeczek. Lecz wróćmy do Helenki. Spoglądając skrycie na drzwi przedpokoju, dziejąc ją od wymarzonych skarbów, myślała:

— Ach! gdybym mogła otworzyć je przed jutrem!

Lecz ileż trudności i przeszkód zwyciężyć trzeba, by osiągnąć pożądaną paczkę; ten niebezpieczny zamiar mógł być spełniony tylko przy współudziale Ta-deusza.

(d. c. n.)

### SZARADA (Nieznajomy).

*Pierwszy pieniądz francuski,  
Drugi ma na sobie łuski,  
Na wspaniałym drugi jest to wielka rzeka,  
Wszystko nazwisko sławnego człowieka.*

### ROZWIĄZANIE DO N-ru 44-go.

Łamigłówny głoskowiej:

L Z  
W I N O  
B R A T  
A K

### Skrzynka do listów.

**P. Kaniowski** w Grodnie. Żądane książki wysłaliśmy, odpowiedź obszerniejsza na kartce wraz wyprawionej. Radzimy literaturę M. Dubieckiego wychodzącą obecnie poszytami.

**P. Garczyński** w Metelnieszce. Wieczory posyłamy zawsze nie czekając odbioru prenumeraty, jeżeli odbierzemy wpi-erw za-wiadomienie, że ktoś nadal odbierać pragnie.

**Śnieżycy i Krasnolice** są tak serdecznie kochane w naszej redakcyi, że nie potrzebują protekcyi, czasem nawet jeste-śmy w obawie, by z tego powodu nie wynikała broń Boże jaka stron-ność w sądach konkursowych... co byłoby niepię- ie.

**Czarnowłosa Dzieweczka** zanadto już jest nieśmiała skoro, nawet takiej potulnej Gołąbki pocztowej się obawia. Ona biedaczka tak pragnęła tym razem wymyślić łatwe zadanie, a tu po-kazuje się, że i to zatrudne. Ej, Dzieweczko! troszkę odwagi, a z pewnością się napisze, jeszcze czas.

**Niezabudka czeska** bardzo dobrze robi, że lato całe na miłym wiejskim odpoczynku spędza, nie skarżymy się, choćby i korespondencya troszkę na tem ucierpiała. Jakkolwiek wszystkie ko-respondentki równie są miłe dla nas, jednak największą dumą nas napełniają osóbkę tego wieku, co Niezabudka, Jaskółka z nad Sekwany i parę innych, które nie gardzą Pisemkiem dziecinnem i przyjemność znajdują w tem czytaniu. Miła siostrzyczka Niezabudki, chociaż nie pisuje, kochaną jest bardzo w naszej redakcyi, a upominek, przesłany niegdys „Kochanej pani”, starannie się w skarbcu przechowuje.

**Biała Ostróżka** ucieszyła nas zapowiedzią częstych liścików. Prawda, że zajęczki są pocziwe, ale gdyby ich na polowaniu nie zabijano, nie byłoby smacznego pieczystego. I kurki są pocziwe i woły... smutne to, lecz konieczne okrucieństwo.

**Kurapatwa z nad Ikopetiu** pierwsza nadesłała książkę dla biednej uczennicy, przesyłamy w jej imieniu serdeczne podziękowanie.

**Al-Chemik**, nim odkryje pożądane skarby, bardzo dowcipne zagadki układa. W braku złota i klejnotów, poprzestaniemy tymczasem i na nich.

**Adaś E.** pocziwe musi mieć serduszek, skoro tyle współczucia wzbudziła w nim „Młoda nauczycielka”. Mamy nadzieję, że nowy korespondent, zapoznawszy się z nami, często pisywać będzie i do konkursów należeć zechce.

**Radziwiankę** witamy serdecznie wśród miłej gromadki korespondentek, a Jesieni dziękujemy, że ją do pisania namówiła. Gołąbka zaciera ręce z radości, bo konkurs świetnie się zapowiada.

**Wielkopolance z nad Obry** przesyłamy dzięki za ładną robotkę, i po konkursie bardzo się przyda. Dziewczynka ubrana w tę spodniczkę modli się o zdrowie kochanej Wielkopolanki, której chore i osłabione rączki pracowały dla ubogich.

Moja droga Lilijko wodna! Dzięki serdeczne zasylam ci za miły liścik. Ja też bardzo lubię lekcye muzyki i gram dwie godziny dziennie. Z nauk najwięcej lubię historyę i przyrodnicze przedmioty. Czy grasz chętnie w krokieta? ja bardzo; niestety! przeszedł już czas przyjemny, kiedy można na podwórzu się bawić! za to będę mogła niezadługo do woli na łyżwach biegać. Stefcia przesyła ukłony starszym twoim siostram. Przyjm uścisk serdeczny od twej Halki z Litwy.

Droga Wiochno z pod Lublina! Obydwie z Martą dziękujemy ci serdecznie za miły i serdeczny liścik. Z nami chyba nigdy nie zobaczysz się, bo w tamte strony wcale nie wyjeżdża-ty. Jeżeli będziesz kiedy w Lublinie na balu w reursie, to może spotkasz się z naszą najstarszą siostrą Julcią, bo karnawał spędza u naszych krewnych w Lublinie, a na balach bywa z Wikcią D., którą może pamiętasz, bo razem z nami była w Nałęczowie. Całujemy cię serdecznie, Westalka i Cyganezka z nad Wisły.

Wiercipięcie, Helence, Brónkowi, posyłają niezliczone uściski Westalka, Cyganezka z nad Wisły i Śmietanka.

Droga Kropelko z Wisły! Przypuszczenia twoje są mylne, jeżeli jednak jesteś w gimnazjum, to może cię Mania D. poinformuje. Donieś mi przez nią o sobie proszę. Szarzę przepraszam, sądziłam, iż liścik w N-rze. 28 jest do mnie, jeżeli jednak chcesz z mną korespondować, to z ochotą przystaję. Zdaje mi się, że Cyganezka jest twoją siostrą, ponieważ zaś i ona też starszka, może pogawędzić ze starą babką Jesienią.

Jaskółce z nad Sekwany i Brzydotce z nad Tamizy, serdeczne dzięki za pamięć, Jesień.

Kochana Gosposiu z nad Warty! Donieś mi przez „Wieczory Rodzinne”, jak ci na imię, gdzie mieszkasz i ile masz lat. Mnie na imię Wacława. mieszkam w Warszawie, mam lat 13. Nieznana ci Niezapominajka z nad Warty.

Kochane moje: Różyczko majowa, Cyganezko z nad Wisły i Brzydotko!.. (już nie wiem jak dodatek pisać, gdyż już oddawna nie jesteś nad Tamizą.) Dziękuję wam tysiąc razy. Donoszę ci, Różyczko, że i ja niezbyt lubię grywać na fortepianie. Ale nie myśl znowu, że nie lubię muzyki; przeciwnie, lubię ją bardzo. O tak, Cyganezko moja, słusznie mówisz, ja się łączę całem sercem z wami wszystkiemi i z Gołąbką, pod opieką naszej Kochanej Pani! O jakbym pragnęła was wszystkie zobaczyć! Kiedy to będzie? Jaktó, droga Brzydotko, więc nie zapomniałaś o mnie podczas tak zajmującej podróży? Jeżeli tak ciągle wędrujesz, to może będziesz w Paryżu na wystawie? Może tu się spotkamy! Może i inne czytelniczki Wieczorów tu przybędą. Ściskam was, kochane siostrzyczki, nie wiem sama ile razy. Nie zapomnijcie o mnie, wasza siostrzyczka (starsza), Jaskółka z nad Sekwany.